



J.R.

WARD

PRZYGOTUJCIĘ SIĘ
NA GRZESZNĄ PRZYJEMNOŚĆ

KRÓLOWIE
BOURBONNA

MARGINESY



J.R.
WARD

KRÓLOWIE
BOURBONA

PRZEŁOŻYŁA AGNIESZKA WILGA

MARGINESY

Książkę dedykuję mojemu ukochanemu
dżentelmenowi z Południa
Johnowi Neville'owi Blakemore'owi Trzeciemu,
bez którego to przedsięwzięcie, jak i wiele
innych, nie byłoby możliwe.

The Bourbon Kings

COPYRIGHT © Love Conquers All, Inc., 2015

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.

This edition published by arrangement with the New American Library,
an imprint of Penguin Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Agnieszka Wilga

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,

WARSZAWA 2017



SERDECZNIE ZAPRASZAMY

NA

*Uroczyste
Śniadanie*

Z OKAZJI

139. Charlemont Derby

W SOBOTĘ, 4 MAJA,

O GODZINIE 10.00

W EASTERLY

RSVP newarkharris@gmail.com

Charlemont, Kentucky

Nad leniwie płynącą rzeką Ohio unosiła się mgła, niczym Boże tchnienie, a drzewa rosnące przy drodze biegnącej wzdłuż rzeki od strony Charlemont przybrały tak wiele odcieni wiosennej zieleni, że aby je ogarnąć, człowiek musiałby dysponować szóstym zmysłem. Błękit nieba był przytłumiony i matowy (na Północy takie zjawisko obserwuje się wyłącznie w lipcu), a choć minęło dopiero wpół do ósmej, temperatura przekroczyła już dwadzieścia stopni.

Był pierwszy tydzień maja – najważniejsze siedem dni w kalendarzu, z którymi nie mogły się równać ani Boże Narodzenie, ani Święto Niepodległości, ani sylwestrowe hulanki.

W sobotę miały się odbyć sto trzydzieste dziewięte derby w Charlemont.

Co oznaczało, że wszystkich mieszkańców stanu Kentucky ogarniało czystej krwi wyścigowe szaleństwo.

Lizzie King właśnie zbliżała się do zjazdu z autostrady prowadzącego do jej pracy. Już od trzech tygodni funkcjonowała na pełnej adrenalinie, a na podstawie doświadczeń z lat poprzednich wiedziała, że ten gorączkowy nastrój nie opuści jej aż do czasu, gdy w sobotę wszystko zostanie uprzątnięte. Tyle dobrze, że przynajmniej jechała, jak zwykle, w stronę przeciwną niż wszyscy zmierzający do centrum, więc pokonywała trasę dość szybko. Dojazd zajmował jej czterdzieści minut w każdą stronę,

ale nawet w godzinach szczytu nigdy nie tkwiła w koszmarnych korkach typowych dla Nowego Jorku, Bostonu czy Los Angeles (co przy jej obecnym stanie umysłu groziłoby atakiem apopleksji). Na te czterdzieści minut składało się dwadzieścia osiem minut podróży przez pola Indiany, następnie sześć minut mozolnego przebijania się przez most i rozjazdy, a na koniec jeszcze sześć do dziesięciu minut trasy biegnącej wzdłuż rzeki, w stronę przeciwną do głównego nurtu ruchu ulicznego.

Czasem miała nieodparte wrażenie, że w tę samą stronę co ona jadą wyłącznie samochody pozostałych pracowników Easterly.

No właśnie, Easterly.

Usytuowana na najwyższym wzgórzu aglomeracji Charlemont posiadłość rodziny Bradfordów (Bradford Family Estate, w skrócie BFE) obejmowała rezydencję o powierzchni niemal dwóch tysięcy metrów kwadratowych, trzy ogrody w stylu francuskim, dwa baseny oraz widok na pełną panoramę hrabstwa Washington. Na terenie posesji stało też dwanaście domków pracowników obsługi, jak również dziesięć budynków gospodarczych. Do posiadłości należała też w pełni wydajna farma o powierzchni ponad czterdziestu hektarów, stajnia na dwadzieścia koni, którą przerobiono na centrum biznesowe, a także dziewięciodołkowe pole golfowe.

Oświetlone.

Na wypadek gdyby ktoś nagle o pierwszej w nocy zapragnął poćwiczyć precyzję uderzeń.

Z tego, co słyszała, tę ogromną posiadłość rodzina Bradfordów otrzymała w roku 1778, podczas wojny o niepodległość, gdy jej pierwszy reprezentant przybył tu z Pensylwanii z oddziałami podpułkownika George'a Rogersa Clarka i sprowadził tym samym do powstającego właśnie stanu zarówno własne ambicje, jak i rodzinną tradycję wyrobu bourbona. A teraz, po niemal dwustu pięćdziesięciu latach od tego zdarzenia, klasycystyczną rezydencję na wzgórzu otaczała posiadłość o rozmiarach

niedużego miasteczka, a obsługę całości zapewniały siedemdziesiąt dwie osoby, zatrudnione w pełnym lub niepełnym wymiarze godzin.

Każdy z pracowników musiał się dostosować do istic feudalnych zasad oraz systemu kastowego jakby żywcem wyjętego z serialu *Downton Abbey* – choć w porównaniu z tutejszym rygorem zasady narzucane przez hrabinę wdowę Grantham mogłyby się wydawać nieco zbyt postępowe. Lepszym porównaniem byłoby chyba panowanie Wilhelma Zdobywcy.

Jeśli więc na przykład (oczywiście to sytuacja czysto hipotetyczna, rodem z telewizyjnego serialu) tutejsza ogrodniczka zakocha się w jednym z synów tego szacownego rodu, wówczas... Nawet jeśli jest ona wysokiej klasy specjalistką uznaną w całym kraju i posiada dyplom architektury krajobrazu Uniwersytetu Cornell oraz należy do dwuosobowego zespołu zarządzającego wszystkimi ogrodami posiadłości, to po prostu nie ma mowy.

Trochę jak w filmie *Sabrina* – tylko bez happy endu.

Lizzie zaklęła i włączyła radio z nadzieją, że uciszy w ten sposób swoje rozszalałe myśli. Niewiele to jednak pomogło. System głośników zainstalowany w jej toyocie yaris lepiej by się sprawdził w domku dla Barbie – przez kółeczka zamieszczone w drzwiach miała niby płynąć muzyka, ale tak naprawdę był to pic na wodę. W każdym razie dochodzące teraz z tych rozetek piskliwe brzęczenie wiadomości nie działało kojąco.

Zaraz zresztą zagłuszyło je wycie syren karetki nadjeżdżającej z tyłu. Lizzie ostro przyhamowała i zjechała na pobocze. Gdy migoczący, hałaśliwy pojazd ją wyminął, wróciła na drogę prowadzącą zamasytym łukiem wzdłuż rzeki. I oto ona: wspaniała biała rezydencja Bradfordów, wznosząca się wysoko ku niebu królewska, symetryczna bryła opleciona promieniami porannego słońca.

Lizzie wychowała się w miasteczku Plattsburgh w stanie Nowy Jork, w otoczeniu jabłoniowego sadu.

Co, do diabła, strzeliło jej do głowy, kiedy dwa lata temu wpuściła do swojego życia Lane'a Baldwine'a, najmłodszego syna tego rodu?

I dlaczego wciąż, choć minęło tyle czasu, rozważa najrozmaitsze szczegóły z tym związane?

Przecież nie jest pierwsza, która dała mu się oczarować i uwieść...

Lizzie zmarszczyła brwi i pochyliła się nad kierownicą.

Karetka jechała teraz z boczem wzgórza, w stronę rezydencji. Klonowa aleja rozblyskiwała czerwono-białymi smugami światła.

– O Boże... – szepnęła Lizzie, wstrzymując oddech.

Żeby tylko nie chodziło o tę osobę, która nasuwała jej się na myśl...

Ale bez przesady, nie można przecież mieć aż takiego pecha.

I czy to nie żalosne, że właśnie w ten sposób o tym myśli, zamiast się przejąć losem osoby, której coś się stało, może zachowała lub straciła przytomność?

Minęła zamykającą się właśnie bramę z kutego żelaza ozdobioną rodowym monogramem, a następnie, jakieś trzysta metrów dalej, skręciła w prawo.

Jako osoba zatrudniona w rezydencji miała obowiązek korzystać z bramy dla personelu – od tej zasady nie było wyjątków.

Jak by to bowiem wyglądało, gdyby przed rezydencją zauważono pojazd o wartości poniżej stu tysięcy dolarów...?

Uznała, że zrobiła się już zbyt zgryźliwa. Jak skończy się to derby, musi sobie zrobić wakacje, zanim wszyscy dookoła uznają, że przechodzi menopauzę o dwie dekady za wcześnie.

Terkoczący niczym maszyna do szycia silnik samochodu zwiększył obroty, gdy wjechała na prostą drogę otaczającą wzgórze. Najpierw dotarła do pola przygotowanego pod zasiew kukurydzy, na którym porozrzucano już nawóz. Następnie zaś minęła ogród kwiatowy, gdzie kwitły pierwsze byliny i rośliny jednoroczne – główki młodych piwonii były już całkiem spore, a barwą

przypominały rumieńce na policzkach naiwnej panienki. Dalej stały storczykarnie oraz szkółki sadzonek, za nimi budynki gospodarcze pełne sprzętów rolniczych i ogrodowych, a na samym końcu rzędy trzy- i czteropokojowych domków utrzymanych w estetyce lat pięćdziesiątych, w jednym i tym samym, przeciętnym stylu – niczym puszki na mąkę i cukier ustawione na kuchennym blacie.

Lizzie wjechała na parking dla personelu i wysiadła z samochodu, zostawiając w nim przenośną lodówkę, kapelusz i torebkę, w której miała krem z filtrem.

Podbiegła do głównego budynku gospodarczego, a następnie przez niezabudowane wejście po lewej stronie wkroczyła do ciemnego wnętrza, gdzie unosił się zapach benzyny i oleju. Gabinet Gary'ego McAdamsa, głównego zarządcy, znajdował się nieco z boku. Mleczne szyby pozwalały dostrzec, że w środku pali się światło i ktoś się przemieszcza.

Weszła bez pukania. Mocno pchnęła cienkie drzwi i znalazła się w środku, nie zwracając uwagi na półnagie panienki z kalendara Pirellego.

– Gary...

Sześćdziesięciodwuletni zarządca odkładał właśnie słuchawkę telefonu, którą trzymał w swojej niedźwiedziej łapie. Jego ogorzła od słońca twarz o skórze grubej jak kora drzewa wyglądała wyjątkowo ponuro. Wystarczyło, że spojrział na nią znad zabałaganionego biurka, a już wiedziała, po kogo przyjechała karetka – zanim jeszcze wypowiedział imię tej osoby.

Lizzie zakryła twarz dłońmi i oparła się o framugę.

Współczuła oczywiście rodzinie, ale nie potrafiła się powstrzymać przed odnoszeniem tej tragedii do samej siebie. Najchętniej poszłaby gdzieś zwymiotować.

Jeden jedyny człowiek, którego miała nadzieję już nigdy nie zobaczyć, przyjedzie teraz do domu.

Właściwie mogłaby już chyba włączyć stoper.

Nowy Jork

– No już, przecież wiem, że mnie pragniesz.

Jonathan Tulane Baldwine ominął wzrokiem biodro oparte o stół przy jego stosie żetonów do pokera.

– Stawiajcie, chłopaki.

– Hej, do ciebie mówię – znad trzymanego przez niego w dłoniach wachlarza z kart wyłoniła się para ledwie częściowo zakrytych sztucznych piersi. – Czeeść...

Lane uznał, że musi zacząć udawać zainteresowanie czymkolwiek innym. Szkoda tylko, że kawalerkę usytuowaną w samym środku śródmiejskiego wieżowca urządzono w stylu czysto funkcjonalnym. A po co miałyby się gapić w twarze tych niedobitków, którzy wytrwali przez osiem godzin, odkąd zaczęli grać? Jediną wartością, jaką reprezentowali, była umiejętność ciągłego podbijania stawki. O wpół do ósmej rano nie chciało mu się już męczyć oczu próbami odgadywania wysyłanych przez nich sygnałów, nawet jeśli miałyby to pozwolić mu uniknąć natarczywych zaczepek.

– Czeeść...

– Daj sobie spokój, skarbie, on nie jest zainteresowany – mruknął któryś z graczy.

– Przecież mną każdy się interesuje!

– Ale nie on – zawyrokował Jeff Stern, rzucając na stół żetony o wartości tysiąca dolarów. – Prawda, Lane?

– Jesteś gejem? Czy on jest gejem?

Lane przełożył królową kier na miejsce obok króla kier, a przy niej położył waleta. Miał ochotę popchnąć na podłogę te paplające sztuczne cycki.

– Dwóch z was jeszcze nie postawiło.

– Ja pasuję, Baldwine. To zbyt dużo jak na mnie.

– Ja wchodzę, jeśli ktoś mi pożyczy tysiaka.

Jeff rzucił wzrokiem na Lane'a siedzącego po drugiej stronie stolika pokrytego zielonym suknem.

– I znów zostaliśmy sami, Baldwine – powiedział.

– Chętnie przejmę twoją kasę – mruknął Lane, wyrównując karty w dłoni. – Twoja kolej.

Dziewczyna znów się nad nim pochyliła.

– Ale masz świetny południowy akcent.

Jeff zmrużył oczy za szklami okularów w przezroczystych oprawkach.

– Zejdz z niego, laleczko.

– Nie jestem głupia – mruzczała. – Dobrze wiem, kim jesteś i ile masz forsy. Piję waszego bourbona.

Lane wyprostował się i zwrócił do durnia, który sprowadził tę przeszkadzajkę.

– Billy? No naprawdę...

– Dobra, dobra. – Facet, który wcześniej chciał pożyczyć tysiaka, podniósł się z krzesła. – I tak słońce już wstało. Idziemy!

– Ale ja chcę zostać...

– Nie ma mowy, koniec. – Billy wziął za ramię panienkę z rozdętym ego i poprowadził ją do drzwi. – Zabiorę cię do domu. A on nie jest tym, za kogo go bierzesz. Na razie, łajdaki!

– A właśnie, że jest! Widziałam zdjęcia w gazetach!

Zanim jeszcze drzwi się zamknęły, wstał kolejny zawodnik, całkiem już splukany.

– Ja też spadam. Przypomnijcie mi, że mam już nigdy z wami nie grać.

– Nie mam zamiaru – oświadczył Jeff, unosząc w górę dłoń. – Pozdrów ode mnie żonę.

– Możesz ją sam pozdrowić, jak się spotkamy przy szabacie.

– Co, znowu?

– Jak co piątek. Skoro ci się nie podoba, to po co wciąż do nas zaglądasz?

– Darmowe żarcie. Prosta sprawa.

– Jasne, bo potrzebujesz jałmużny.

No i zostali sami. Na stole, obok popielniczki pełnej kiepów, leżały żetony o wartości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów i dwie talie kart. No i nie było już sztucznych cyków.

– Twoja kolej – powiedział Lane.

– On chyba chce się z nią ożenić – mruknął Jeff, rzucając na środek stołu kolejne żetony. – Znaczący Billy. Masz tu dwadzieścia tysięcy.

– Powinien odwiedzić psychiatrę. – Lane przyjął stawkę swojego kolegi ze studiów, a następnie ją podwoił. – Żałośni są, oboje.

– Mogę cię o coś spytać? – zagadnął Jeff, opuszczając karty.

– Byle o nic trudnego. Jestem pijany.

– Kręcą cię?

– Żetony? – Gdzieś w kącie rozległ się dzwonek komórki. – Pewnie. Możesz ich wrzucić trochę więcej...

– Nie, kobiety.

– Słucham? – Lane podniósł wzrok znad kart.

Stary kumpel oparł łokieć o zielone sukno i pochylił się w jego stronę. Krawat gdzieś mu przepadł już na samym początku gry, a śnieżnobiała krochmalona koszula zrobiła się miękka i luźna niczym koszulka polo. Wzrok miał jednak uważny i przenikliwy.

– Nie będę się powtarzał. Wiem, że to nie moja sprawa, ale słuchaj: ile już czasu minęło, odkąd tu przyjechałeś? Prawie dwa lata. Śpisz na mojej kanapie, nie pracujesz, co zresztą mogę zrozumieć, zważywszy na twoje pochodzenie. Ale żeby tak żadnych kobiet, żadnych...

– Za dużo myślisz, Jeff.

– Mówię poważnie.

– To stawiaj!

Komórka ucichła. Ale Jeff nie miał zamiaru zamilknąć.

– Czasy studenckie są już dawno za nami. Wszystko się zmienia.

– Najwyraźniej nie wszystko, skoro dalej śpię na twojej kanapie.

– Co się z tobą dzieje, stary?

– Umarłem z nudów, czekając, aż postawisz zakład albo się wycofasz.

– To jeszcze dwadzieścia tysi – mruknął Jeff, rzucając na stół stos czerwonych i niebieskich żetonów.

– I o to chodzi! – Komórka znów się rozdzwoniła. – Przyjmuję. I podbijam do pięćdziesięciu. O ile się przymkniesz.

– Jesteś pewien?

– Że masz się przymknąć? O, tak.

– Agresywna gra w pokera z bankierem inwestycyjnym takim jak ja? Trzeba choć trochę wierzyć stereotypom. Jestem chciwy i umiem świetnie liczyć. W odróżnieniu od ludzi twojego pokroju.

– Mojego pokroju?

– Ludzie tacy jak wy, Bradfordowie, nie wiedzą, jak się zarabia pieniądze. Nauczono was tylko, jak je wydawać. W przeciwieństwie jednak do większości tego rodzaju dyletantów wasza rodzina ma przynajmniej stały dopływ gotówki. Chociaż właśnie dlatego nie musieliście się niczego uczyć. Nie jestem więc pewien, czy na dłuższą metę to wam służy.

Lane wrócił myślami do przyczyn, dla których w końcu na dobre opuścił Charlemon.

– Sporo się już nauczyłem, możesz mi wierzyć.

– Gorzko to brzmi.

– Nudzisz mnie. Mam tryskać entuzjazmem?

– Dlaczego nie jeździsz do domu na święta? Boże Narodzenie, Święto Dziękczynienia, Wielkanoc...

Lane złożył karty i odwrócił je na stole figurami do dołu.

– Jakoś już, cholera, nie wierzę w Świętego Mikołaja ani w zajączka wielkanocnego, a indyk jest przereklamowany. O co ci chodzi?

Nie powinien zadawać tego rodzaju pytań. Zwłaszcza po całej nocy spędzonej przy pokerze i alkoholu. A już szczególnie facetowi takiemu jak Jeff, organicznie niezdolnemu do mówienia nieprawdy.

– Martwi mnie, że jesteś taki samotny.

– Chyba sobie kpisz!

– Jestem jednym z twoich najstarszych kumpli, tak? Jeśli ja ci tego nie powiem prosto w twarz, to kto to zrobi? I nie rzucaj mi się. Sam sobie wybrałeś na wiecznego współlokatora nowojorskiego Żyda, a nie jednego z tych licznych sztywniaków z Południa, którzy chodzili z nami na tę kretyńską uczelnię. Więc się pierdol.

– Gramy czy nie?

– Odpowiedz mi na jedno pytanie. – Jeff zwęził źrenice, wbijając w niego przenikliwy wzrok.

– No dobra, muszę się poważnie zastanowić, dlaczego właściwie nie zdecydowałem się nocować u Wedge’a albo Chenowetha.

– Ha! Nie dałbyś rady znieść żadnego z tych typów przez dłużej niż dobę. No, chyba że w stanie upojenia, który zresztą towarzyszy ci stale od trzech i pół miesięcy. A to dla mnie kolejna niepokojąca okoliczność.

– Stawiaj! Już! Na litość boską...

– Dlaczego...

Komórka rozdzwoniła się po raz trzeci. Lane wstał i przemaszerował do barku, na którym obok jego portfela leżał rozświetlony telefon. Nawet nie spojrzął, kto dzwoni. Odebrał tylko dlatego, że w przeciwnym razie mógłby kogoś zamordować.

W słuchawce rozległy się trzy słowa, wypowiedziane męskim głosem z południowym akcentem:

– Twoja mamunia umiera.

Podczas gdy ich sens pomału docierał do jego mózgu, wszystko dookoła zadrżało, ściany zaczęły się zacieśniać, podłoga falowała, a sufit opadał mu na głowę. Wspomnienia całkiem go osaczyły, a alkohol w żyłach nijak nie osłabiał ich zmasowanego ataku.

Nie – pomyślał Lane. Nie teraz. Nie dziś rano.

Z drugiej strony czy kiedykolwiek byłby odpowiedni czas? „Nigdy, przenigdy” zdawało się jedynym terminem do zaakceptowania.

Usłyszał z oddali swój głos, mówiący:

– Będę na miejscu przed dwunastą.

Po czym się rozłączył.

– Lane? – Jeff wstał z krzesła. – Jasna cholera, nie zemdlej mi tu. Za godzinę mam być na giełdzie, a muszę jeszcze wziąć prysznic.

Lane patrzył z oddali, jak jego własna ręka sięga po portfel. Włożył go razem z telefonem do kieszeni spodni, po czym ruszył w stronę drzwi.

– Lane! Dokąd ty się, kurwa, wybierasz?!

– Nie czekaj na mnie – rzucił Lane, otwierając drzwi.

– Kiedy wracasz? Ej, Lane, co jest, do diabła?

Stary dobry kumpel wciąż coś do niego mówił, Lane jednak po prostu wyszedł, pozwalając, żeby drzwi się za nim zamknęły. Na końcu korytarza pchnął kolejne, stalowe, prowadzące na betonową klatkę schodową i zaczął zbiegać na dół. Po całym budynku niosło się dudnienie jego kroków. Ścinając zakręty, wybrał znajomy numer telefonu, a gdy uzyskał połączenie, powiedział:

– Mówi Lane Baldwine. Proszę odrzutowiec na lotnisko Teterboro, teraz. Lecę do Charlemon.

Po chwili przerwy znów rozległ się w słuchawce głos asystentki jego ojca:

– Mamy dostępny samolot, proszę pana. Rozmawiałam z pilotem. W tej chwili przygotowany jest plan lotu. Gdy dotrze pan na lotnisko, proszę się skierować...

– Wiem, gdzie jest nasz terminal – przerwał Lane, wpadając do marmurowego holu. Skinął portierowi i ruszył w stronę obrotowych drzwi. – Dzięki!

To tylko szybki wypad, mówił sobie, gdy już się rozłączył i łąpał taksówkę. Przy odrobinie szczęścia do wieczora, najpóźniej do północy, wróci na Manhattan i będzie dalej grać na nerwach Jeffowi.

Jakieś dziesięć godzin. Góra piętnaście.

Przecież musi się zobaczyć ze swoją mamunią. Tak zawsze robią chłopcy z Południa.

Trzy godziny, dwadzieścia dwie minuty i ileś tam sekund później Lane patrzył przez owalne okienko jednego z nowiutkich odrzutowców biznesowych Embraer Lineage 1000E, należących do Bradford Bourbon Company. Leżące w dole Charlemont wyglądało jak makieta z klocków lego, z wyraźnie oddzielonymi sektorami bogactwa i biedy, handlu i rolnictwa, gospodarstw i szos – wszystko zdawało się płaskie, dwuwymiarowe. Przez chwilę próbował sobie wyobrazić, jak ten teren mógł wyglądać w roku 1778, gdy jego rodzina tu się osiedliła.

Lasy, rzeki, Indianie, dzika przyroda.

Jego przodkowie przybyli tu z Pensylwanii przez przełęcz Cumberland niespełna dwieście pięćdziesiąt lat temu. A on teraz krąży nad miastem na wysokości trzech tysięcy metrów, podobnie jak pewnie z pięćdziesięciu innych bogaczy w różnych samolotach.

Tyle tylko, że on nie przyjechał tu, żeby obstawiać konie, pić na umór i szukać seksu.

– Mogę panu dolać bourbona nr 15, zanim wylądujemy? Obawiam się, że będziemy musieli chwilę poczekać, bo jest sporo lotów. To może potrwać.

– Dziękuję. – Wychylił do końca zawartość kryształowej szklanecki, aż kostki lodu opadły mu na górną wargę. – Świetne wycucie czasu.

No dobra, może jednak trochę sobie popije.

– Z przyjemnością.

Stewardesa w dopasowanym kostiumie odeszła, oglądając się za siebie, żeby sprawdzić, czy wodzi za nią wzrokiem. Jej wielkie błękitne oczy jaśniały pod kotarą sztucznych rzęs.

Kiedyś jego życie seksualne zależało głównie od uprzejmości nieznajomych – zwłaszcza podobnych do niej blondynek, z takimi właśnie nogami, biodrami i piersiami.

Ale to już przeszłość.

– Proszę o uwagę – rozległ się nad jego głową głos kapitana. – Gdy otrzymali wiadomość, że to pan jest na pokładzie, dali nam pierwszeństwo, więc za chwilę będziemy lądować.

– Bardzo miło z ich strony – mruknął Lane.

Stewardesa wróciła. Sposób, w jaki otwierała butelkę, pozwalał sobie wyobrazić, jak rozpina mężczyźni spodnie: przeżyła całe ciało, odkręcając nakrętkę i wyciągając korek. Następnie zaś nachyliła się, napełniając szklankę, tak że mógł spokojnie przyjrzeć się jej biustonoszowi.

Tyle starań na nic.

– Starczy – wyciągnął rękę. – Dziękuję.

– Czym jeszcze mogę panu służyć?

– Dziękuję, już nic nie potrzeba.

Nastąpiła chwila milczenia. Dziewczyna najwyraźniej nie nawykła do sytuacji, w której jej zaloty są ignorowane. Być może chciała mu uprzytomnić, że mają już mało czasu.

Po chwili jednak uniosła dumnie podbródek.

– Dobrze, proszę pana.

Dała mu w ten sposób do zrozumienia, żeby szedł do diabła. Zarzuciła włosami i odeszła kołyszącym się krokiem, bujając pupą, jakby chciała się zamachnąć i wymierzyć komuś cios.

Lane unióś w górę szklankę i zatoczył nią kółko, mieszając złoty płyn. Nigdy nie angażował się szczególnie w rodzinne interesy – to należało do kompetencji jego starszego brata Edwarda, przynajmniej do czasu. Nawet jednak trzymając się nieco z boku,

wiedział, że nr 15, najpopularniejszy, sztandarowy produkt rodzinnej firmy, świetnie się sprzedawał. Nazywano go wręcz Wielkim Wyrównywaczem, ponieważ przynosił tak ogromne zyski, że przyćmiewały wszelkie możliwe straty poniesione w wyniku wewnętrznych lub zewnętrznych błędów, pomyłek czy wahań rynkowych.

Podczas gdy samolot kołował nad lotniskiem, zbliżając się do lądowania, przez owalne okienko wpadł promień słońca – prosto na składany orzechowy stolik, kremowe skórzane obicie fotela, głęboki błękit jego dżinsów i miedzianą sprzączkę mokasynów od Gucciego.

W końcu oświetlił też bourbona w szklance, wydobywając rubinową poświatę z bursztynowego płynu. Pociągając kolejny łyk, Lane poczuł słoneczne ciepło na zewnętrznej części dłoni i lodowy chłód pod palcami trzymającymi kryształową szklankę.

Według przeprowadzonego niedawno badania sektor produkcji bourbona osiągał sprzedaż w wysokości około trzech miliardów dolarów rocznie. Więcej niż ćwierć tej kwoty, a może nawet jedną trzecią, generowała ich firma. Tylko jedno przedsiębiorstwo w stanie Kentucky było od nich większe – zniechęcona Sutton Distillery Corporation. Resztę rynku dzieliło między sobą ośmiu czy dziesięciu pomniejszych producentów. Bradford Bourbon Company stanowiła jednak prawdziwy klejnot pośród kamieni półszlachetnych – to ich produkty wybierali najbardziej wymagający koneserzy.

Jako lojalny konsument musiał iść z duchem czasu.

Płyn w szklance zafalował, co zdradzało początek schodzenia do lądowania. Wrócił myślami do chwili, w której po raz pierwszy skosztował rodzinnego produktu.

Zważywszy, jak się to potoczyło, powinien na resztę życia zostać abstynentem.

– Daj spokój, przecież jest sylwester. Nie zachowuj się jak dzidzia!
Jak zwykle to od Maxwella wszystko się zaczęło. Z czwórki rodzeństwa Max był największym rozrabiaką. Zaraz za nim plasowała się ich młodsza siostra Gin. Najstarszego, Edwarda, najbardziej z nich wszystkich zasadniczego, w ogóle nie zaproszono na tę imprezę, a Lane, który znajdował się gdzieś pośrodku zarówno, jeśli chodzi o wiek, jak i skłonność do pakowania się w tarapaty, został zabrany na siłę, ponieważ Max nie lubił rozrabiać bez widowni – a dziewczęce towarzystwo się nie liczyło.

Lane zdawał sobie sprawę, że to naprawdę kiepski pomysł. Jeśli mieli pić alkohol, powinni zabrać butelkę ze spiżarni na górę, gdzie istniała niewielka szansa, że zostaną nakryci. Ale pić tu, w salonie, pod karcącym wzrokiem Elijaha Bradforda, który patrzył na nich z portretu nad kominkiem?

Głupota...

– To co? Mówisz, że nie weźmiesz ani łyka, kaleko?

No tak, Max zawsze przezywał go kaleką (Lame), bo to przecież taka niesamowicie śmieszna gra słów: Lane – Lame, ha, ha.

W pomarańczowej poświacie rzucanej przez lampy zewnętrzne Max posyłał mu wyzywające spojrzenie, jakby stał w blokach startowych z pistoletem gotowym do strzału.

Lane zerknął na butelkę w rękę brata. Miała wyszukaną etykietkę z eleganckim napisem „Rodzinna Rezerwa”. Wiedział, że jeśli nie podejmie wyzwania, już nie uwolni się od docinków Maxa.

– Ale chcę go wypić ze szklanki – oświadczył. – Takiej prawdziwej. Z lodem.

Bo przecież tak właśnie pił ojciec. A poza tym Lane'owi nie przyszło do głowy nic innego, co mogłoby opóźnić całą procedurę.

– No tak... – Max zmarszczył brwi, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że nie przemyślał kwestii podania trunku.

– A ja nie potrzebuję szklanki – siedmioletnia Gin oparła dłonie na biodrach i utkwiała spojrzenie w Maksie. W swojej małej koronkowej

koszuli nocnej wyglądała jak Wanda z „Piotrusia Pana”, a zdeterminowany wyraz twarzy nadawał jej wygląd zawodowego zapaśnika. – Chcę łyżkę.

– Łyżkę? – zdziwił się Max. – O czym ty mówisz?

– Przecież to lekarstwo, no nie?

Max odrzucił głowę w tył i zaczął się śmiać.

– Co ty...

Lane zakrył mu usta dłonią.

– Cicho! Chcesz, żeby nas złapali?

Max uwolnił się z uścisku.

– I co mi zrobią? Spuszczą mi lanie?

No cóż, właśnie tak by się stało, gdyby ojciec ich nakrył lub dowiedział się od kogoś o ich sprawkach. Choć dostojny William Baldwin zdecydowaną większość ojcowskich obowiązków cedeował na innych, wymierzanie sprawiedliwości paskiem wykonywał osobiście.

– Zaraz, zaraz. A może ty właśnie chcesz, żeby cię złapali, co? – spytał cicho Lane.

Max odwrócił się w stronę ozdobnego mosiężnego wózka na napoje. Był to antyk, jak niemal wszystko w całej rezydencji, a w każdym z jego czterech rogów wygrawerowano rodzinny monogram. Wózek miał wielkie koła o cienkich obręczach oraz szklane półeczki, a na nich – dla każdego coś miłego, czyli cztery różne rodzaje rodzinnych bourbonów, sześć kryształowych szklanek oraz srebrne wiaderko z lodem, który kamerdyner stale wymieniał.

– Masz swoją szklankę – powiedział Max, podtykając mu jedną z nich. – Ja tam piję z butelki.

– A gdzie moja łyżka? – dopytywała Gin.

– Możesz ode mnie wziąć łyka – szepnął Lane.

– Nie. Chcę swoją własną...

Ich wymiana zdań szybko się zakończyła, bo Max właśnie wyciągnął z butelki korek, który poszybował w górę i trafił prosto w kryształowy

żyrandol wiszący pośrodku sufitu. Rozległ się brzęk szkła, a cała trójka zamarta.

– Ani słowa! – powiedział Max, zanim ktokolwiek miał szansę wygłosić jakiś komentarz. – A ty będziesz pił bez lodu.

Bourbon gulgotał, gdy Max zdecydowanym ruchem nalewał go do szklanki Lane'a, aż była tak pełna jak podawana dzieciom do posiłku szklanka mleka.

– A teraz do dna! – zakomenderował Max, zbliżając butelkę do ust i odchylając głowę w tył.

Ten pokaz animuszu nie trwał zbyt długo: po jednym łyku Max zaczął kaszleć tak głośno, że zbudziłby umarłego. Lane czekał, aż brat się wykaszle albo całkiem udusi, i wbijał wzrok w swoją szklankę. W końcu uniósł jej kryształową krawędź do ust i ostrożnie upił maleńki łyczek.

Ogień. Czuł, że pali go ogień sięgający aż do żołądka. Gdy z siarczystym przekleństwem wypuszczał powietrze z ust, miał wrażenie, że zaraz buchnie z nich płomień, jak z paszczy smoka.

– Moja kolej – odezwała się Gin.

Trzymał mocno szklankę, żeby siostra nie mogła jej chwycić. Tymczasem Max próbował wypić drugi, a potem trzeci łyk.

Gin ledwo co pociągnęła ze szklanki, a właściwie zamoczyła tylko usta i zaraz odsunęła się ze wstrętem.

– Co wy tu robicie?!

Żyrandol nad ich głowami nagle rozbłysnął światłem, a cała trójka aż podskoczyła. Lane ledwo złapał szklankę, która wymknęła mu się z rąk, tak że jej zawartość zalała mu przód piżamy z wyhaftowanym monogramem.

Na progu salonu stał Edward z wyrazem wściekłości na twarzy.

– Co wy, do diabła, tutaj wyprawiacie? – wrzasnął, po czym ruszył w ich stronę i wyrwał szklankę z rąk Lane'a i butelkę z dłoni Maxa.

– Tylko się bawiliśmy – wymamrotała Gin.

– Idź do łóżka, Gin. – Edward odstawił szklankę na wózek, a trzymaną w ręku butelkę wskazał siostrze wyjście. – Marsz do łóżka, w tej chwili!

– Buu, dlaczego?

– Chyba że chcesz, żebym z tobą też się policzył.

Nawet mała Gin potrafiła przyjąć tak postawione warunki.

Przygarbiona ruszyła w stronę zwieńczonego łukiem wyjścia, szurając kapciami po orientalnym dywanie.

– Wejdz schodami dla personelu – syknął jeszcze Edward. – Jak ojciec coś usłyszysz, to zejdzie głównymi schodami.

Serce Lane'a zaczęło walić jak młotem. Poczut ucisk w żołądku – choć nie był pewien, czy bardziej przez to, że zostali złapani, czy przez wypity bourbon.

– Ona ma siedem lat – powiedział Edward, gdy Gin już się oddaliła. – Siedem lat!

– Wiemy, ile ma lat...

– Przymknij się, Maxwell. Po prostu się przymknij. – Edward wbijał w brata wściekłe spojrzenie. – Jeśli chcesz przesrać sobie życie, proszę bardzo. Ale nie wciągaj w to gówna brata i siostry.

Groźnie brzmiące słowa. Przekleństwa. I zachowanie godne kogoś, kto mógłby ich zmiażdżyć.

Ale przecież Edward zawsze wydawał się dorosły, nawet zanim jeszcze oficjalnie wkroczył do świata nastolatków.

– Nie muszę się ciebie słuchać – odszczeknął się Max, ale nie miał już tyle animuszu. Głos mu słabł, a spojrzenie opadało ku podłodze.

– Owszem, musisz.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Przepraszam – powiedział Lane.

– O ciebie się nie martwię. – Edward pokręcił głową. – Tylko o niego.

– Przeprasz, Max, no już! – szepnął Lane.

– Nie.

– To nie ojciec, wiesz?

– Ale zachowuje się jak on – mruknął Max, rzucając w stronę Edwarda wściekłe spojrzenie.

– Tylko dlatego, że sam nad sobą nie panujesz.

Lane wziął Maxa za rękę.

– On też chce przeprosić. Chodźcie, idziemy, zanim ktoś nas usłyszy.

Trochę musiał go ciągnąć, ale w końcu Max poszedł z braćmi bez dalszych komentarzy. Walka się zakończyła, próba niezależności została ukrócona. Przeszli już na środek mrocznego holu wyłożonego czarno-białym marmurem, gdy Lane kątem oka dostrzegł jakąś postać na końcu korytarza.

W zalegającej tam ciemności ktoś się poruszał.

Ktoś zdecydowanie większy od Gin.

Lane szybkim szarpnięciem pokierował brata do tonącej w mroku sali balowej po drugiej stronie holu.

– Cii...

Przez wejście prowadzące do salonu patrzył, jak Edward odwraca się w stronę wózka, żeby poszukać korka od butelki. Chciał go jakoś ostrzec, ale...

W progu salonu stanął ich ojciec. Jego wysoka postać całkowicie zasłoniła im Edwarda.

– Co ty tu robisz?! – spytał William Baldwin.

Niemal te same słowa, wypowiedziane tym samym tonem, tylko grubszym głosem.

Edward spokojnie się odwrócił, trzymając w dłoni butelkę. Na środku wózka stała wciąż niemal pełna szklanka Lane'a.

– Może mi odpowiesz? – naciskał ojciec. – Co ty tutaj robisz?

Już po nas – pomyślał Lane. Jak tylko Edward mu opowie, cośmy tu z Maxem wyprawiali, ojciec dostanie furii.

Stojący obok brata Max cały drżał.

– Nie powinienem był tego robić – szepnął.

– Gdzie twój pasek? – spytał ojca Edward.

– Odpowiedz na moje pytanie.

– Właśnie odpowiadam. Gdzie twój pasek?

Nie! – myślał Lane. Nie, to przecież my!

Ojciec ruszył w stronę najstarszego syna. W świetle abażuru połyskiwał jedwabny szlafrok z monogramem, w kolorze świeżej krwi.

– Do ciężkiej cholery, synu, powiesz mi wreszcie, co tu robisz z moim bourbonem?

– To bourbon Bradfordów, tato. Wżeniłeś się w tę rodzinę, pamiętasz?

Ojciec uniósł dłoń do piersi. Ciężki złoty sygnet, który nosił na lewej dłoni, błysnął, jakby szykował się do akcji i czekał na bliższy kontakt ze skórą. Po chwili zaś Edward otrzymał elegancki, potężny cios wierzchem dłoni. Uderzenie było tak mocne, że jego trzask poniósł się echem aż do sali balowej.

– A teraz spytam cię ponownie: co tu robisz z moim bourbonem? – wycedził ojciec, podczas gdy Edward łapał równowagę, trzymając się za twarz.

Edward przez chwilę ciężko dyszał, a potem się wyprostował. Drżał na całym ciele, co było widać po falującej piżamie, ale stał mocno na nogach.

Odchrząknął i powiedział zachrypniętym głosem:

– Świętowałem Nowy Rok.

Po bladym policzku płynęła strużka krwi.

– W takim razie nie będę ci psuł zabawy – mruknął ojciec, wskazując pełną szklankę Lane'a. – Wypij to.

Lane zamknął oczy. Zbierało mu się na wymioty.

– Pij!

Odgłosy krztuszenia się i charczenia zdawały się nie mieć końca, Edward jakoś jednak zdołał opróżnić szklankę zawierającą niemal ćwierć butelki bourbona.

– A tylko spróbuj to zwymiotować! – warknął ojciec. – Ani mi się waż...

Lane wrócił do terażniejszości dopiero wtedy, gdy koła samolotu uderzyły o płytę lotniska. Bez szczególnego zdziwienia przyjął fakt, że szklanka w jego ręku drży, zresztą wcale nie z powodu lądowania.

Odłożył ją na stolik i potarł dłonią czoło.

Nie był to bynajmniej jedyny raz, kiedy Edward za nich cierpiał.

Ani nie było to najgorsze, co przeżył. Nie, najgorsze miało nadejść wiele lat później, w dorosłym życiu. Dopiero wówczas udało się dokonać czegoś, do czego wcześniej nie zdołały doprowadzić rodzicielskie zaniedbania.

Z Edwarda został już teraz ledwie wrak człowieka – i to nie tylko w sensie fizycznym.

Boże, z tak wielu powodów Lane nie chciał wracać do Easterly. Wiele z nich nie miało nic wspólnego z kobietą, którą kochał, ale utracił.

Musiał jednak przyznać... że Lizzie King wciąż stanowiła najważniejszy punkt na tej długiej liście.

Niezwykła sceneria amerykańskiego Południa, wystawne przyjęcia,
piękne stroje, służba, prywatne odrzutowce
oraz historia miłosna, od której nie sposób się oderwać. Polecam!

Magdalena Witkiewicz



Bradfordowie zbili majątek na produkcji bourbona i prowadzą
uprzywilejowane, pełne wysmakowanych przyjemności życie.

Opływają w luksus, choć tylko pozornie są szczęśliwi.

Nad utrzymaniem fasadowego rajy Bradfordów niestrudzenie
pracuje służba. Te dwa światy nie powinny się nigdy przeniknąć.

Ale stało się inaczej. Ogrodniczka Lizzie – wbrew zdrowemu rozsądkowi
– zakochała się w synu marnotrawnym Bradfordów,
a ich gorzkie rozstanie jest jak posypana solą rana.

Teraz, po dwóch latach, Tulane Bradford wraca do domu,
a wraz z nim cała przeszłość.

Nikt nie pozostanie obojętny: ani jego piękna i bezwzględna żona,
ani przepelniony goryczą starszy brat, a już na pewno
nie głowa rodu – człowiek pozbawiony zasad i skrupułów,
skrywający wiele strasznych tajemnic.

W miarę jak w rodzinie narastają konflikty, cała posiadłość
wraz z mieszkańcami wpada w wir przemian.
Żeby je przetrwać, trzeba mieć głowę na karku.

www.marginesy.com.pl



9 788365 586773

cena 39,90 zł

PARADYK MEDICAL

WROCZKA



lubimyczytać.pl

EVELINE
COSMETICS

STYLOWI.PL